

opusdei.org

## "Moje lata pracy z błogosławionym Álvaro"

11 marca 1914 roku urodził się Alvaro del Portillo. A 11 marca 1954 roku piszący ten artykuł, don Iñaki Celaya, spotkał go w Rzymie. Don Iñaki był rektorem Kolegium Rzymskiego, a później kierownikiem duchowym Opus Dei. Teraz publikujemy kilka wspomnień z lat jego pracy z błogosławionym Alvaro.

29-01-2023

## Wstęp

Błogosławionego Alvaro del Portillo poznałem osobiście 11 marca 1954 r., w jego 40. urodziny. Przyjechałem do Rzymu dzień wcześniej. Miałem rozpocząć studia w Kolegium Rzymskim Świętego Krzyża. Kiedy przywitałem się z Don Alvaro i pogratulowałem mu - było to około dziewiątej rano - stał obok świętego Josemaríi wśród mnóstwa rusztowań, ponieważ wszystkie okoliczne budynki były w budowie.

Od tej daty aż do 1974 roku można było go często widywać i rozmawiać z nim, ponieważ Kolegium Rzymskie - którego byłem alumnem do 1957 roku, potem członkiem rady lokalnej, a od 1963 roku rektorem - miało swoją siedzibę w tych samych budynkach Villa Tevere (siedziba Rady Generalnej); i było zwyczajem, że ksiądz Escrivá de Balaguer przychodził i spotykał się z

alumnami Kolegium Rzymskiego, praktycznie zawsze w towarzystwie don Álvaro.

Od 1957 roku miałem z nim częsty kontakt w związku z zadaniem kierowania Kolegium Rzymskim, które św. Josemaría bardzo uważnie śledził, razem z don Álvaro.

We wrześniu 1974 roku Kolegium Rzymskie, którego byłem rektorem do 1977 roku, przeniosło się do swojej ostatecznej siedziby w Cavabianca, kompleksie budynków na obrzeżach Rzymu. Częstotliwość, z jaką się widywaliśmy, być może zmniejszyła się nieco wraz z odległością, ale wzrosła pod względem intensywności, z powodu znaczenia i potrzeb formacyjnych Kolegium Rzymskiego; a w szczególności, od września 1975 r. do czerwca 1977 r. (od czasu, gdy don Alvaro został wybrany na przewodniczącego generalnego Opus

Dei, aż do opuszczenia przeze mnie Kolegium Rzymskiego), miałem wiele okazji do bezpośredniego kontaktu z don Alvaro, by otrzymywać jego wskazówki i pomoc.

Od czerwca 1977 r. do śmierci Don Alvaro w marcu 1994 r. żyłem w ośrodku Rady Generalnej, obok prałata i osób, które tę Radę tworzyły: w tym czasie byłem centralnym kierownikiem duchowym. W okresie tym miałem łaskę być jeszcze bliżej don Alvaro: z jednej strony w związku z zadaniem, jakiego wymagał ode mnie mój urząd, a z drugiej strony w związku z tym, że życie rodzinne właściwe dla ośrodka było przeżywane razem z nim: konkretnie codzienna medytacja poranna; wspólne spotkania po obiedzie i kolacji; zwykłe akty pobożności (wystawienie Najświętszego Sakramentu i Salve w soboty i inne dni świąteczne, dni skupienia itp.).

Uczestniczyłem również w wielu formach formacji przez niego prowadzonych: częste medytacje, kręgi, które wygłaszał prawie co tydzień, homilie przy różnych okazjach, spotkania i środki formacji z różnymi ludźmi itd. Na koniec chciałbym dodać, że miałem okazję towarzyszyć mu przy wielu obiadach, na które zapraszał władze kościelne.

Jakie było pierwsze wrażenie, jakie odniosłem, gdy go poznałem? Była to osoba pełna prostoty i naturalności, bardzo pogodna, bardzo serdeczna. To wrażenie umacniało się z upływem czasu. Odkrywając wyjątkowe cechy ludzkie i intelektualne, wydawało mi się, że jego misja polegała na pomaganiu i byciu blisko św. Josemaríi, przechodzeniu niezauważonym, pełnym delikatności wobec niego (w rozmowach, w sugestiach), uważnym

na najmniejsze wskazówki, które otrzymywał.

Od czasu wyboru na przewodniczącego generalnego (15.IX.75), z dnia na dzień uwydatniają się cechy, które mi zaimponowały u niego na początku: dary inteligencji i umiejętności rządzenia, zmysł nadprzyrodzony, pogoda ducha, spokój, serdeczność i wielka sympatia dla ludzi.

Trudno jest odróżnić w moim życiu wpływ, jaki miał bł. Alvaro del Portillo, od wpływu, jaki miał założyciel Dzieła za życia: myślę, że prawie nie zdając sobie z tego sprawy, to, czego nauczyłem się od Don Alvaro, to starać się być wiernym synem św. Josemaríi, poprzez przykład, który nam dał i który widzieliśmy na własne oczy.

Myślę, że od momentu wyboru na Ojca ten przykład - bycia wiernym synem naszego Założyciela - jest

stałym elementem jego życia, ze względu na stałe odwoływanie się w swoich rządach do ducha św. Josemaríi. W tym kontekście głębokie wrażenie wywarło na mnie jego poczucie synostwa Bożego, które prowadziło go do wielkiej nadprzyrodzonej wizji we wszystkim, do niezmiennego pokoju (który przekazywał i promieniował na wszystkich), jego duch niezmqordowanej pracy oraz bardzo silna stałość i wytrwałość w wypełnianiu woli Bożej, aż do ostatniej chwili jego życia.

Nie prowadziłem z nim prawie żadnej korespondencji - ponieważ mieszkaliśmy w tym samym domu, nie było na nią miejsca - poza krótkimi listami z gratulacjami lub dowodami pamięci, które otrzymywałem z okazji jakiejś mojej uroczystości, jeśli był poza Rzymem. Ja również pisałem do niego przy takich okazjach. Oczywiście mam

wiele osobistych notatek z rozmów z don Alvaro, a także notatek zaczerpniętych z jego kazań. Od 1975 roku nabrałem szczególnej świadomości, że wszystko to jest wielkim skarbem i że powinienem to zachować, co starałem się robić.

Chociaż moja pamięć jest coraz słabsza, a moje zdolności literackie raczej ograniczone, to ze względu na jakość moich wspomnień i szczęście, że miałem okazję być bezpośrednim świadkiem działalności bł. Alvaro, często byłem zapraszany do opowiadania szczegółów z jego życia, zarówno podczas małych rodzinnych tertuliach [spotkań], jak i w poważnych kontekstach, na przykład podczas składania zeznań w procesie beatyfikacyjnym. Ponieważ nie jestem już w stanie wiele więcej zrobić, postanowiłem napisać te wspomnienia z lat pracy z bł. Alvaro, aby uporządkować nieco moją pamięć i zachęcić tych wszystkich,

którzy go nie znali osobiście, do studiowania jego przykładu i zwracania się do jego wstawiennictwa.

## **Intencja specjalna**

Erygowanie Opus Dei jako Prałatury personalnej było jednym z pierwszych pragnień don Alvaro, kiedy został wybrany na następcę Założyciela na czele Opus Dei: zrealizować *intencję specjalną*, którą nasz Założyciel pozostawił w spadku. Ostateczny proces trwał od końca 1978 roku do listopada 1982 roku: w tym czasie, jak wiadomo, podjęto wszystkie niezbędne kroki, od uprzedniej prośby o zbadanie tematu, do promulgacji Bulli *Ut sit* z 28.XI.82, która została uroczyście kanonicznie wprowadzona w życie przez Nuncjusza Apostolskiego we Włoszech 19 marca 1983 roku, podczas Mszy Świętej celebrowanej

przez tego prałata w Bazylice św. Eugeniusza.

Alvaro del Portillo z niezwykłą wiarą, nadprzyrodzonym zmysłem i stałością, pokonywał wiele przeszkód różnego rodzaju, które się pojawiły, a przez cały czas z zachowaniem rygorów kanonicznych i ścisłej jedności z Ojcem Świętym i Stolicą Apostolską. W tym czasie bardzo uważnie śledziłem działalność don Alvaro i mogłem z bliska obserwować niektóre cnoty, które były szczególnie widoczne. Przede wszystkim zachęcał wszystkie swoje dzieci i wielu innych (współpracowników Opus Dei, rodziny, przyjaciół, zgromadzenia zakonne, itd.) do zdwojenia modlitwy i umartwienia, aby uzyskać potrzebne łaski od naszego Pana: prawie codziennie, na zakończenie porannej medytacji, o godz. 8.30, kiedy przygotowywaliśmy się do odprawienia lub uczestniczenia we

Mszy Świętej, mówił do nas przed tabernakulum: „**módlcie się szczególnie za pracę, którą dzisiaj wykonujemy**”, „**za tę wizytę, którą mamy odbyć**”, itd.

Jego wiarę i ufność w modlitwę ukazuje na przykład następujące zdarzenie: na początku 1980 roku, kiedy byłem z don Alvaro w moim biurze, wszedł ksiądz - don Miguel - i powiedział mu, że jedzie ze swoim przyjacielem odwiedzić i zaopiekować się pewnymi starszymi księżmi, którzy przebywają w rezydencji kapłańskiej w Monte Mario. Wielu z tych księży miało nabożeństwo do świętemu Josemaríi i prosiło go o niezliczone łaski. W przypadku, o którym mówię - opowiadał don Miguel - natknęli się na księdza, który z obrazkiem z modlitwą do prywatnego odmawiania w rękę przekonywał, mówiąc im jakby w twarz, że „*non mi concede la grazia che le chiedo*” (nie

udzielił mi łaski, o którą proszę). Był to 87-letni kapłan, który prosił o wstawiennictwo księdza Escrivę de Balaguer w intencji o przywrócenie do pracy dydaktycznej w Seminarium...

Don Alvaro był rozbawiony, ale zaraz powiedział do Don Miguela:

**„następnym razem, gdy go zobaczysz, powiedz mu w moim imieniu, że nasz Ojciec udziela mu o wiele większej łaski, a mianowicie, że skłania go do wytrwałości w modlitwie”**. I kontynuował: **„i to się nam przydarza w intencji specjalnej: ponieważ prosimy o to z wiarą, On udziela nam jeszcze większej łaski, a jest nią to, że czyni nas wytrwałymi w modlitwie, bardziej zjednoczonymi z Ojcem i ze sobą nawzajem, bardziej żywotnymi apostołsko”**. A zakończył słowami: **„Pan może zechce jeszcze przez wiele lat udzielać nam tej łaski”**.

Kilka dni później powiedział nam: „**Właśnie powiedziałem Panu, że jeśli chce, abyśmy nadal prosili przez kolejne 20 lat, aż nam to przyzna: *fiat voluntas tua* (niech się stanie wola Twoja)**”. Zostawił nas, co logiczne, pod wielkim wrażeniem swojej wiary, swojego nadprzyrodzonego zmysłu. Wkrótce potem rozesłał ten akt strzelisty do wszystkich członków Dzieła, aby ją stale odmawiali: *fiat voluntas tua*.

To nadprzyrodzone poczucie wiary i oddania się Bogu, a także ufność w moc modlitwy, wyraziły słowa don Alvaro - w czerwcu 1980 roku - w odpowiedzi na pytanie o postępy w realizacji intencji specjalnej: „**Idzie bardzo dobrze, mój synu, ponieważ Pan jest najlepszym z ojców, a dobry ojciec zawsze wysłuchuje próśb swoich dzieci. Od pierwszej chwili przyjął nasze modlitwy; ale to, co jest wiele warte, wiele kosztuje. Jeśli Bóg**

chce czasem opóźnić konkretną realizację tego, co już nam dał, czyni to po to, by sprawdzić i umocnić naszą wiarę, naszą nadzieję i naszą miłość, by oczyścić naszą pokorę, by wzmocnić naszego ducha. W modlitwie realizują się trzy cnoty teologalne: wiara, bo prosimy z przekonaniem, że Pan nas słyszy; nadzieja, bo wiemy, że Bóg Ojciec udzieli nam tego, o co prosimy; miłość, bo proszenie jest przejawem miłości i synowskiego zaufania. Modlitwa ożywia i wzmacnia życie wewnętrzne: im więcej się modlimy, tym bardziej zbliżamy się do Boga, a to jest bardzo dobra rzecz... Intencja specjalna przebiega bardzo dobrze; dużo się modlimy. Jeśli Pan przedłuży czas wydania swojej zgody, to świetnie, bo zbliżamy się do Niego i wszyscy się jednoczymy. Tymczasem niech ta jednomyślna modlitwa nadal wznosi się do nieba”.

Równoległe z tą modlitwą i umartwieniem, pełen wiary i wytrwałości, don Alvaro pracował i przykładał się do pracy bez wytchnienia: zarówno w przygotowaniu różnych opracowań i dokumentów, jak i w organizowaniu różnych spotkań, które odbywały się w Stolicy Apostolskiej; a także odbywając wizyty (niektóre do odległych miejsc), aby wyjaśniać kardynałom i biskupom naturę Dzieła, kwestie rozwiązania, którego szukano itp.

## **Praca i pobożność**

Często towarzyszyłem mu w uroczystościach liturgicznych, jak np. w nabożeństwach Triduum Paschalnego, którym przewodniczył; w wielu koncelebrach z okazji uroczystości, rocznic itp.; w wystawieniach i błogosławieństwach Najświętszym Sakramentem itp. Zawsze imponowała mi - i słyszałem,

jak wiele osób to komentowało - jego głęboka pobożność i skupienie, pełne posłuszeństwo rubrykom liturgicznym, temu jak sugerował mu ceremoniarz. Szczególny przykład mogę podać w odniesieniu do śpiewu liturgicznego, który zwykle organizowałem przy okazji tych uroczystości. Don Alvaro nie miał dobrego słuchu muzycznego, z trudem zapamiętywał melodie i łatwo mógł popełniać błędy, a popełniał. Mimo to, ilekroć proponowałem mu śpiew (modlitwy, prefacja, błogosławieństwo Mszy św. itp.), wzywał mnie na próbę dzień przed uroczystością: spędzaliśmy długi czas z partyturami, studiując je i śpiewając razem; potem prosił, bym zostawił mu nagranie, by mógł je odsłuchać na przykład wieczorem, przed snem. A kiedy nadeszła pora ceremonii, starał się wyśpiewać wszystko, bez najmniejszej obawy, że się pomyli lub coś zepsuje: niejednym raz pomylił ton lub melodię, a potem

przepraszał mnie - jakby to była jego wina - za to, że nie zdążył. Posiadam, jako relikwię, ostatnią partyturę, którą dałem mu na te próby.

Codziennie godzinami, bardzo intensywnie, pracował ze świadomością obecności Boga, modląc się o wszystko, co miał do przestudiowania: używał ludzkich sztuczek [vide Droga 272], aby pomagały mu pamiętać, że musi uświęcać swoją pracę: krucyfiks, obraz Matki Bożej... Przez czas rok maryjnego - od 1 stycznia 1978 roku celebrowaliśmy trzy z rzędu, zauważyłem, że wszystkie podpisane przez niego papiery miały podkreśloną na czerwono datę. Zapytałem go o to podkreślenie, a on odpowiedział po prostu, że to szczegół, który dodał ze względu na szczególne znaczenie tych lat, dodał dla Maryi. W tym czasie przez jego ręce przeszło tysiące dokumentów.

Codziennie przez wiele lat widziałem, jak przychodził pół godziny wcześniej na poranną medytację, którą prowadził z Radą Generalną, i potem, z wielką intensywnością odprawiał Mszę Świętą. Mogłem też śledzić - między innymi dlatego, że pracowałem w pokoju bardzo blisko niego - jak punktualnie i z powagą przeżywał inne praktyki pobożności: popołudniową medytację, odmawianie brewiarza w towarzystwie don Javiera Echevarrúi i don Joaquína Alonso - dwóch kapłanów będących Custodes Ojca od '75 do '94, czyli odpowiedzialnymi za towarzyszenie mu i dbanie o jego formację pod względem materialnym i duchowym - czas lektury duchowej, odmawianie różańca, itd. Przez lata widziałem, jak codziennie odmawiał z całą Radą Generalną modlitwy Dzieła, uczestniczył we wszystkich zaplanowanych aktach pobożności, nie opuszczając ani jednego (np. w

dni, w których było wystawienie z Najświętszym Sakramentem: w każdą sobotę i w wiele dni świątecznych). Żył nadobfitą hojnością w pobożności wobec Pana i Matki Bożej. Na przykład, kiedy wszyscy razem odmawialiśmy różaniec, on, nawet jeśli był zmęczony - co w jego późniejszych latach zdarzało się często - wstawał, żeby nie zasnąć w trakcie.

W styczniu 1994 roku (dwa miesiące przed śmiercią) Uniwersytet Nawarry nadawał kilka tytułów doktoratu *honoris causa*. Biskup del Portillo, jako Wielki Kanclerz, odbył podróż i uczestniczył w uroczystościach długich i wyczerpujących dla niego, który był bardzo osłabiony fizycznie. Po jego śmierci mieliśmy okazję obejrzeć film z uroczystości: w zbliżeniach widać było, że jest wyczerpany, prawie nie może podnieść rąk, a przez cały czas miał ujmujący

uśmiech. Byliśmy pod takim wrażeniem filmu, że don Javier Echevarría, który został jego następcą jako prałat, głośno w imieniu wszystkich, powiedział: „Proszę o wybaczenie, ponieważ widzę, że wymagaliśmy od don Álvaro więcej, niż był fizycznie w stanie znieść, i nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy”.

Jego hojność w wypełnianiu zadań związanych z formacją i kierowaniem swoimi dziećmi wzrastała i według wskazówek udzielanych mu przez *Custodes*, aż do końca życia nie zwolnił się z osobistego dawania wszelkich środków formacji, jakie mógł: kręgi co tydzień, medytacje, tertulie i dni skupienia itp. I przez cały czas, nie okazując w żaden sposób swojego zmęczenia związanego też z wiekiem. W istocie, na Kongresie Generalnym we wrześniu 1992 roku - kiedy miał już 78 lat - uczynił prostą

aluzję do faktu, że będzie to jego ostatni Kongres, i dodał z taką samą prostotą, przy wszystkich, że do ostatniej chwili „**non recuso laborem**” (**nie odmawiam pracy**), co rzeczywiście wszyscy widzieliśmy. Zachowywał głęboką pokorę wobec Pana Boga, czując się narzędziem i zawsze zabiegając o jego łaskę; a wobec ludzi: pokorę słuchania i wdzięczności (na przykład był zawsze wdzięczny za pouczenia swoich synów, do których udawał się, gdy było to stosowne); pokorę uczenia się, poprawiania.

## **Siła, radość i dobry humor**

Chcę podkreślić jego siłę w dążeniu do celu i wytrwałość. Jego fizyczny i moralny hart ducha w obliczu bólu i choroby. W jego historii choroby znajduje się cały ciąg schorzeń i interwencji chirurgicznych. Niektóre z nich widziałem z bliska; co jakiś czas ciężka kolka wątrobowa;

obustronne zapalenie płuc w kwietniu 1989 roku; niewydolność nerek, na co przeszedł operację na początku lat dziewięćdziesiątych; operacja zaćmy w 1993 roku; wszczepienie rozrusznika serca w tym samym czasie... - ale znosił to z uśmiechem, nie przywiązując do tego prawie żadnej wagi. Mogę powiedzieć, mimo że będąc człowiekiem o silnej i atletycznej budowie, trudy życia, na przykład ciężkie lata wojny hiszpańskiej i lata powojenne, trudności ekonomiczne i warunki życia w Rzymie przez wiele lat, a także choroba, wyczerpały go, aż został wyciśnięty jak cytryna, jak mawiał św. Josemaría, co pokazuje epizod, w Nawarze, o którym opowiedziałem powyżej. Nigdy nie zauważyłem najmniejszej jego skargi, a wszystko znosił z naturalną, pogodą ducha - na przykład zapytany opowiadał, co widział na monitorze podczas operacji medycznej, jakby to był ktoś inny - zawsze z uśmiechem i

radością. Ostatnie lata jego życia, zwłaszcza lata 92-94, były dla niego bardzo trudne z tego punktu widzenia: dało się zauważyć zmęczenie, które utrudniało mu nawet chodzenie; pewnego razu - na początku 1992 roku - widziałem, jak przerwał spotkanie, ponieważ nie mógł wstać: a przez cały ten czas nadal prowadził normalne życie ze wszystkimi, odbył kilka podróży apostolskich do różnych krajów i kontynuował zaplanowany rytm swojej pracy. Mogę zapewnić, że nie spotkałem żadnej innej osoby, o takim harcie ducha i siły, jaki miał biskup del Portillo.

Jeśli chodzi o jego zdrowie, to oprócz incydentów medycznych, o których wspomniałem, obserwowałem go w wielu momentach niesprzyjających lub trudnych [dla Dzieła]: na przykład w latach 78-82, gdy badano możliwość przekształcenie Dzieła w prałaturę, a to z powodu pomówień,

prób uwikłań i przeszkód, które niektórzy chcieli postawić na tej drodze . Podobnie, co było wielkim cierpieniem dla don Alvaro, stało się w 1991 r., przed beatyfikacją naszego Założyciela, kiedy to rozpowszechniano oszczerstwa i pomówienia na temat św. Josemaríi. We wszystkich tych sytuacjach, jak również w innych, bardziej zwyczajnych i zwykłych, jego spokój i radość nie były w najmniejszym stopniu zakłócone: były to chwile, aby bardziej się modlić, bardziej się jednoczyć, bardziej się poświęcać, bardziej apostołować. I to zaszczeniał w tych, którzy go otaczali, i we wszystkich wiernych Prałatury, którzy są świadkami tego nadprzyrodzonego i ludzkiego usposobienia biskupa Alvaro del Portillo. - **„Nie mamy prawa być smutni, byłoby to obrazą dla naszego Boga Ojca”** - powtarzał niemal co tydzień, gdy zwracał się do nas podczas kręgu.

Jego radość i pokój były radością kogoś, kto codziennie powtarzał - i uczynił to swoim życiem - akt oddania się Bogu, którego nauczył się od księdza Escrivy de Balaguer i który wielokrotnie słyszałem, jak wypowiadał: „**Panie, Boże mój, w ręce Twoje oddaję przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, rzeczy małe i duże, trochę i wiele, sprawy doczesne i wieczne**”.

Wiele razy, zwłaszcza w ostatnich latach jego życia, słyszałem, jak mówił - na tertuli, przy okazji wiadomości o czyjejś śmierci itp. - że co wieczór, gdy wyrażał swoją gotowość akceptacji śmierci, mówił Panu: „**kiedy chcesz, gdzie chcesz i jak chcesz**”. Kilkakrotnie powiedział, że po odmówieniu tej modlitwy „**trochę się boję**”, ale pokonywał lęk dodając: „**dopóki jestem w Twoich rękach**”. Mówił nam też wielokrotnie, że pragnie, aby w odpowiednim czasie zostały mu

udzielone ostatnie sakramenty,  
nawet jeśli nie będzie miał  
możliwości poproszenia o nie.

Myślę, że najbardziej stałym  
umartwieniem - i najcięższym,  
zwłaszcza w ostatnich latach - było  
wypełnianie jego rozkładu zajęć,  
praca, sprawy zarządzania Dziełem,  
przyjmowanie gości - rodzin,  
duchownych na obiad itp., ponieważ  
widać było (co zauważyli ci z nas,  
którzy byli najbliżej niego), że jest  
fizycznie wyniszczony i wyczerpany:  
na spotkania przychodził bardzo  
zmęczony, prawie wlokąc się, choć  
zawsze uśmiechnięty, pełen spokoju i  
dobrego humoru. Prawie nigdy nie  
widzieliśmy, aby zwalniał się z  
najmniejszych obowiązków. Nigdy  
nie omieszkał wstać o wyznaczonej  
godzinie, aby pójść ze wszystkimi na  
medytację. Pamiętam tylko jeden  
wyjątek: w dniach po beatyfikacji  
naszego założyciela, Custodes *zmusili*

go do pozostania w łóżku, ponieważ był bardzo wyczerpany.

22 maja 1992 roku, po beatyfikacji naszego założyciela, jego święte szczątki zostały przeniesione do ołtarza kościoła prałackiego. Od tego momentu grób w krypcie był pusty, ale pozostała płyta, która go przykrywała, z napisem upamiętniającym naszego założyciela. Don Alvaro uważał - w porozumieniu z Radą Generalną - że jego szczątki mogą spocząć w tym samym miejscu, gdy nadejdzie czas, ale że płyta jest relikwią, którą całowało wiele osób, i że lepiej będzie pozostawić ją nietkniętą i przygotować tekst wyjaśniający sytuację. Pod koniec 1992 roku przygotowaliśmy ewentualny tekst do zatwierdzenia przez don Alvaro: przypomniano, że nasz założyciel został pochowany w tej krypcie w tych latach; że była ona celem pielgrzymek wielu osób; i że

pozostawiono ją na pamiątkę. Don Álvaro zaakceptował tekst napisu z odpowiednimi poprawkami, a kiedy oddał go nam zatwierdzony, powiedział - z charakterystycznym dla siebie humorem i prostotą: „**a kiedy umrę, możecie dodać: a teraz on leży tutaj**”. I tak zrobiono, ale w formule pierwotnie zatwierdzonej.

## **Wiara w czynach**

Błogosławiony Alvaro del Portillo bardzo mocno odczuwał swoją odpowiedzialność jako duszpasterz, który musi czuwać nad integralnością wiary swoich dzieci i wszystkich dusz. W jego przepowiadaniu, w jego osobistych rozmowach i w środkach, które podjął, aby zachować wiarę pośród członków Opus Dei, ta odpowiedzialność była widoczna, gdy stał na czele Dzieła. Od razu podał do wiadomości encykliki napisane przez papieża, w

szczególności *Redemptor hominis* (1979), *Dives in misericordia* (1980), *Laborem exercens* (1981), *Dominum et vivificantem* (1986), *Redemptoris Mater* (1987), *Sollicitudo rei socialis* (1987), *Centessimus annus* (1991) i *Veritatis splendor* (1993): Zlecał ich studiowanie i wyjaśnianie we wszystkich ośrodkach Prałatury; a wierni Dzieła organizowali sympozja, konferencje i publikacje w celu rozpowszechniania doktryny.

To samo można powiedzieć o innych dokumentach, np. o dokumencie Kongregacji Nauki Wiary dotyczącym teologii wyzwolenia. W szczególności bardzo zależało mu na tym, aby wiara w Świętą Eucharystię była żywa i operatywna. W latach 80. opowiedziano mu anegdotę dotyczącą pewnej osoby, supernumerari Opus Dei. W parafii tej kobiety był ksiądz traktującego Najświętszy Sakrament bez godności. Pozwalał wiernym przyjmować

Komunię samodzielnie, a kielich zostawiał na małym stoliku, aby wierni mogli z niego pić.

Wspomniana osoba delikatnie zwróciła na to uwagę księdzu, który początkowo nie zareagował; spostrzegła też, że obrus na małym stoliku jest zachlapany kroplami Krwi Pańskiej i zaproponowała, że go wyczyści i wymieni. Ksiądz się zgodził. Pani ta wpadła na pomysł, aby zadośćuczynić, oprawiając obrus w ramy i wieszając go w najlepszym pokoju swojego domu, z napisem z *Adoro Te Devote: cuius una stilla saluum facere totum mundum quit ab omni scelere* (wszak jedna jej kropla tak wielką ma moc, że całego świata gładzi zbrodni moc). Don Alvaro przez kilka dni był poruszony wiarą i nabożeństwem tej osoby do Eucharystii, a podczas kilku wizyt, gdy przyjmował biskupów, opowiedział im o tym, mówiąc do nich w niejednym przypadku - słyszałem go wyraźnie: „**Księżę**

**biskupie, jeśli nie traktujemy dobrze Świętej Eucharystii, nie mamy prawa być dobrze traktowani przez naszego Pana”.**

Dodam, że don Alvaro był przeszczęśliwy słysząc, że wspomniany ksiądz zmienił swój stosunek do Najświętszego Sakramentu.

Jego wiara w obecność Pana w Eucharystii była czymś tak żywym, tak naturalnym, tak spontanicznym, tak silnym i tak wyraźnym, że aż przekonująca i zaraźliwa. Wiele razy słyszałem, jak zwracał się do Pana w tabernakulum konkretnymi słowami: **„Wierzę, Panie, że jesteś tu ze swoim Ciałem, swoją Krwią, swoją duszą i swoim Bóstwem”.**

Zauważyłem jeden szczegół: w kaplicy zawsze przyklękał pośrodku, twarzą do tabernakulum, i powoli. Widać było, że dokonuje aktu adoracji. Pewnego razu, w 1980 roku,

don Alvaro zobaczył, że przyszedłem do kaplicy rano, w pewnym pośpiechu, i delikatnie, ale wyraźnie wskazał mi, że nie powinienem uklęknąć po przekątnej i jakby w pośpiechu, aby udać się do miejsca, do którego zmierzam. Byłem pod wrażeniem jego delikatności; wtedy zwróciłem więcej uwagi, jak on to robił. Nawet gdy był już po osiemdziesiątce a wysiłek fizyczny, z jakim klękał, był wyraźnie zauważalny, mimo to dbał o ten szczegół pobożności. Pamiętam, było to w roku akademickim 1980-81, don Álvaro uczestniczył we Mszy św. odprawianej przeze mnie (być może była to Msza św. za wiernych zmarłych, w której uczestniczył tylko on). Potem, z delikatnością wskazał mi, abym wolniej wymawiał słowa konsekracji, uświadamiając sobie, co mówię i jasno wyrażając, że jest to moment przeistoczenia.

Miłość do Świętej Eucharystii była zakorzeniona w jego życiu, o czym świadczy również ta anegdota. W latach osiemdziesiątych pewien bułgarski ksiądz, który znał Opus Dei i czytał pisma św. Josemaríi, przybył do Rzymu z pragnieniem modlitwy przed jego świętymi szczątkami. Był kapłanem, który doznał surowych prześladowań, a w Rzymie był szczególnie podekscytowany.

Poprosił o spotkanie z biskupem del Portillo, który przyjął go z wielką przyjemnością. Ksiądz chciał mu wyświadczyć przysługę, dając kilka małych słoiczków z esencją różaną, ręcznie robioną (typowy wyrób w jego ojczyźnie). Don Álvaro podziękował mu za dar i wezwał dyrektora, aby przekazał go Administracji, która opiekowała się kaplicami, wskazując, że w każdą sobotę, gdy dokonywano odnowienia Najświętszego Sakramentu, powinni korzystać z esencji dając kropelkę na nowo nakładanych korporałów.

Szczegóły tego rodzaju wskazują, jak bardzo jego serce było przywiązane do tabernakulum.

Wiem też o jego nabożeństwie do Świętych Aniołów, w szczególności do Aniołów Stróżów. Na początku i na końcu codziennej modlitwy przywoływał swojego Anioła Stróża; w błogosławieństwie na podróż, którego udzielał tym z nas, którzy czasami opuszczaliśmy Rzym, kończył wezwaniem do Aniołów Stróżów: *et Angeli eius committentur tecum* (i niech Jego Aniołowie będą z tobą). Wielokrotnie, witając się z nim, obejmował mnie lub robił Krzyż na moim czole i mówił mi, że powierza mnie mojemu Aniołowi Stróżowi. Niekiedy, gdy mnie witał lub udzielał mi błogosławieństwa, kładł ręce na mojej głowie, mówiąc, że - oprócz powierzenia mnie mojemu Aniołowi Stróżowi - powierza mnie Aniołowi Stróżowi mojej śp. matki, „**Ponieważ** -

wyjaśnił - **przychodzi mi na myśl operacja głowy, którą twoja matka miała**". Miał też zwyczaj powierzać osoby, które przyjmował lub widział, ich Aniołom Stróżom: mówił mi to przy niejednej okazji, a ja zauważałem to za każdym razem, gdy go mijałem lub pozdrawiałem.

Czytał i rozważał wiele biografii świętych i wiele ich pism duchowych: mogę na przykład stwierdzić, że znał bardzo dobrze św. Teresę od Jezusa, św. Jana od Krzyża, św. Franciszka Salezego, św. Katarzynę ze Sieny, św. Jana z Avila, itd. i oczywiście św. Tomasza z Akwinu. Jako znaczące szczegóły pamiętam też, że w litaniach zwykł przywoływać swojego świętego, bł. Alvaro z Kordoby; i że chciał odprawić swoją pierwszą Mszę św. 28 czerwca, ze względu na nabożeństwo jakie miał do św. Ireneusza, ponieważ ten nosił „**imię pokoju**”.

Osobiście mogę powiedzieć, że najbardziej utkwiło mi w pamięci jego rozważanie z 8 września 1985 r., w którym mówił nam o *nunc coepi* (teraz zaczynam), o potrzebie podjęcia i rozpoczynania na nowo ascetycznej walki, z odnowionym duchem sportowej postawy i przy wsparciu łaski Bożej: *haec mutatio dexteræ Excelsi* (zmiana, która jest dziełem prawicy Boga) - dodawał... Wszystkie te idee, których uczył się od naszego Założyciela, i o których wiele razy opowiadał, widziałem, jak urzeczywistniały się u niego dzień po dniu: każdego dnia, od samego rana, z odnowionym entuzjazmem oddania się Bogu, by pełnić Jego wolę w tym, co małe i zwyczajne, z zapalem do służby, z coraz większą miłością, będąc i czyniąc Opus Dei. A wszystko to z uśmiechem, z pokojem i radością, które zapraszały nas do pójścia za nim. To samo wrażenie pogodnej nadziei, dążenia do świętości, przekazywał we

wszystkich środkach formacji, jakie prowadził w Rzymie, i w licznych spotkaniach, jakie odbywał na całym świecie: entuzjazm, jaki wywoływał w duszach, pochodził od osoby, która była bardzo blisko Boga. Być może wspominając swoje wykształcenie inżyniera, często powtarzał pomysł na walkę wewnętrzną i na apostołstwo, który zapisałem w maju 1989 roku: **„Im większa trudność, tym większa łaska Boża. Ilorazem tego podziału jest dobra wola; i właśnie ją musimy dać w całości”**.

## **Nadprzyrodzona pokora**

Jeśli chodzi o delikatność, z jaką pogodził swoją pokorę ze stanowczością w kierowaniu Dziełem, to byłem świadkiem takiego oto zdarzenia. Don Alvaro zawsze przekazywał swoje pisma do przejrzenia przez osoby odpowiedzialne za kierownictwo duchowe, w razie gdyby trzeba było

coś wyjaśnić, zmienić itp. W 1980 roku otrzymałem spisane jego rozważania, które miały być opublikowane. Trochę lekkomyślnie zaproponowałem usunięcie zdania, w którym podał wskazanie liturgiczne dotyczące odprawiania Mszy Świętej: a konkretnie celowość czytania tekstów, a nie tylko recytowania ich z pamięci. Kiedy don Alvaro, który zwykle przyjmował bez zastrzeżeń wszystko, co proponowaliśmy, przeczytał to, dał nam z całą mocą do zrozumienia, że źle zrobiliśmy, bo to zdanie było pomysłem naszego założyciela. Miał całkowitą rację i od razu zrozumieliśmy, że byliśmy zbyt lekkomyślni. Tego samego popołudnia don Alvaro prowadził krąg i w pewnym momencie, na oczach wszystkich, poprosił o przebaczenie, ponieważ był zły, kiedy udzielił mi tego upomnienia, mówiąc - z pokorą pełną

naturalności - że był bardzo arogancki.

Swoją pracę wypełniał aktami Bożej miłości, aktami strzelistymi. Z uznaniem odnosił się do ludzi, którzy kryją się za tymi papierami [nad którymi pracował]. Stosował różne chwytty przypominające mu o obecności Boga - *ludzkie sztuczki* - które różnicował w zależności od okresów liturgicznych, dat, które miały być upamiętnione itd. Bardzo osobistym aktem strzelistym, który usłyszeliśmy od niego – wygłoszonym - w medytacji z 7 lipca 1978 r., było: „**Panie, Dziękuję, przepraszam, pomagaj mi bardziej!**”, który w pewien sposób podsumowuje jego więź z Panem, a jest sercem przesłania, które papież Franciszek skierował do odczytania podczas uroczystości beatyfikacji don Álvaro w 2014 r.

Wieczorem, przed zejściem na tertulię, która była o 21.30, kończył pracę, którą wykonywał i na kolanach odmawiał modlitwę z obrazka, do św. Josemaríi, z Ojciec Nasz, Zdrowaś Maryjo i Chwała Ojcu; modliłem się z nim wielokrotnie, gdy z jakichś powodów w tym czasie pracowałam lub przebywałem z nim.

W chwilach, które spędzaliśmy z nim po obiedzie i po kolacji, można było go zobaczyć - i to w ostatnich latach coraz bardziej - pochłoniętego Bogiem, skupionego, nie przestającego zwracać uwagę na rozmowę i na ludzi: ilekroć opowiadano mu jakąś anegdotę apostołską, można było usłyszeć, jak powtarzał niskim głosem: „**Dzięki Bogu!**”. A kiedy ludzie opowiadali mu o łaskach udzielonych za wstawiennictwem założyciela Opus Dei, pośród radości, której nie mógł stłumić (czasami można było niemal zobaczyć, jak szłocha), powtarzał,

również niskim głosem, modląc się i pomagając nam w modlitwie:

**„Musicie zobaczyć, jak aktywny jest nasz Ojciec! - A ja co?”.**

Jego jedyną ambicją była służba Kościołowi, szukanie chwały Bożej i dobra dusz. Co tydzień, komentując pytanie na rachunku sumienia podczas kręgu, miał zwyczaj wygłaszać taki oto specyficzny komentarz: **„Jakim szaleństwem jest szukanie ludzkiej chwały, po wyrzeczeniu się wszystkiego, szaleństwem byłoby szukanie siebie”.**

On nie dbał w najmniejszym stopniu o ludzką chwałę, ani o ambicje ziemskie; ani też nie był pod wpływem osądu ludzi, ani tego, czy w ich oczach wyglądałby dobrze czy źle, gdy chodziło o czynienie woli Bożej. Pamiętam kilka szczegółów, które potwierdzają to, co mówię. Przez wiele lat był konsultorem

Kongregacji Nauki Wiary. Wiem, że otrzymał wiele trudnych zadań, i że w każdy poniedziałek udawał się do Kongregacji na konsultacje, mimo ogromu pracy, jaką miał do wykonania. Nigdy nie słyszałem, aby mówił o swojej obfitej pracy (musiało to być wiele stron opinii, głosów itp.), ani o prestiżu, jaki miał, ani o możliwych rezultatach swojej pracy (niewątpliwie miał znaczący wpływ na niektóre dokumenty Stolicy Apostolskiej). Jak wiadomo, po wielu latach pracy dla Stolicy Apostolskiej (od 1948 r., kiedy przybył do Rzymu, na różnych stanowiskach: w Kongregacji ds. Zakonów, jako konsultor Kongregacji Nauki Wiary, sekretarz jednej z komisji Soboru Watykańskiego itd.), nie otrzymał żadnego odznaczenia, wyróżnienia ani nominacji: nawet tytułu prałata honorowego. Otóż nigdy nie słyszałem od don Alvaro najmniejszego komentarza w tej sprawie. Był na to absolutnie

obojętny. Po mianowaniu go  
Prażatem Opus Dei 28 listopada 1982  
r. zaczął nosić szaty i insygnia  
odpowiadające jego statusowi. Jakiś  
duchowny, który być może nie  
rozumiał dobrze funkcji prałata,  
rzucił jakiś zdziwiony komentarz.  
Don Álvaro, nie czując najmniejszej  
urazy ani upokorzenia,  
przeprowadził odpowiednie  
konsultacje i zastosował się do  
otrzymanego mandatu [dotyczącego  
stroju i insygniów przysługujących  
prałatowi].

Począwszy od 1982 roku, każdego  
roku, w czerwcu Ojciec Święty  
udzielał sakramentu święceń dużej  
grupie diakonów. Na prośbę don  
Alvaro we wszystkich tych  
święceniach brała udział spora liczba  
wiernych z Prałatury. Don Alvaro  
uczestniczył w tych święceniach, w  
szatach prałackich, ale był wśród  
prezbiterów: z pełną radością i  
prostotą wychodził z innymi, aby

nałożyć ręce na wyświęcanych.  
Całkiem sporo księży komentowało,  
jak bardzo zaskakujące było to, że  
prałat był właśnie jednym z nich, i  
uważali to za upokorzenie dla niego.  
Wręcz przeciwnie, komentował  
radość, jaką odczuwał, mogąc  
nałożyć swoje ręce na nowych  
kapłanów po tym, jak uczynił to  
papież.

Uważał się jedynie za narzędzie  
Pana, nie szukając osobistej chwały.  
Nieustannie prosił o modlitwę za  
siebie, czując odpowiedzialność za  
swoje zadanie i za dary, które  
otrzymał od Boga, zwłaszcza za lata  
spędzone u boku Założyciela, i z  
przekonaniem, że nie odpowiadał  
wystarczająco Panu: miał bardzo na  
uwadze ewangeliczne *redde rationem  
villicationis tuae* (zdaj mi sprawę z  
twojego zarządzania), które kazało  
mu żyć w duchu pokory, a  
jednocześnie stałego osobistego  
zaangażowania. Odzwierciedlało się

to w każdej chwili: gdy pojawiał się temat o działaniu łaski w duszach, o łaskach udzielanych za wstawiennictwem naszego Ojca itp. instynktownie pytał się ściszoneym głosem: „- **A ja co?**”, jakby robiąc rachunek sumienia z jego odpowiedzi na Boże dary.

Kiedy w 1991 roku, mając prawie 77 lat, został konsekrowany na biskupa, przyjął tę nominację z radością, bo miał świadomość, że nie jest to uznanie jego osoby, ale prałata Opus Dei.

## **Osobista modlitwa, pełna nadziei i optymizmu**

Często słuchałem jego rozważań: to była osobista modlitwa, w dialogu z Panem. Często zwracał się do Najświętszej Maryi Panny. Robił to ze swojego miejsca w kaplicy Zesłania Ducha Świętego w siedzibie Opus Dei w Rzymie, patrząc na tabernakulum i ołtarz ze sceną przyjścia Ducha

Świętego. Pół godziny, tyle to trwało, otwierał swe serce w nieustannym dialogu z Panem, nakłaniając nas do podążania za wzorem, który nam wyznaczył. Każdy z nas starał się robić to samo. W tych chwilach widać było wyraźnie miłość do Boga, jaką miał w sercu, która kazała mu przez cały dzień szukać zjednoczenia z Nim, z miłością wypełniać Jego wolę, coraz bardziej oddawać się w służbie Kościołowi, swoim dzieciom i wszystkim duszom. To było tak, jakbyśmy byli świadkami dialogu zakochanego, uradowanego swoją Miłością.

**„Czyni mi to wiele dobrego - powiedział nam kiedyś - i staram się codziennie stosować to w modlitwie: myśleć o cudach, które Pan działał, jak tłumy tłoczyły się wokół Niego, aby przynajmniej dotknąć Jego szaty, to uzdrawiało ich z chorób. Później to samo stało się ze św. Piotrem: lud stłoczył się,**

**aby przynajmniej - czytamy w  
Dziejach Apostolskich - cień  
apostoła spoczął na nich i w ten  
sposób uleczył ich dolegliwości”.**

W trakcie pewnej tertuli, w latach 80-tych, rozmawiając o sprawach bieżących, ktoś skomentował - było to wiadomość w prasie - że Bank Światowy odmówił pożyczek niektórym krajom, ponieważ były niewypłacalne... a osoba, która opowiedziała tę historię, dodała, że uważa to za logiczne. Don Álvaro, podjął wątek zupełnie naturalnie mówiąc dalej: **„Cóż, gdyby Bóg miał to zrobić nam, biednym, którzy jesteśmy tak zadłużeni i niewypłacalni wobec Niego”.**

Podczas wielu krótkich rozmów, różnego rodzaju, które mogłem z nim prowadzić, z prostotą i naturalnością kogoś, kto tym żyje, stawiał rozmówcę przed Bogiem, Jego miłością, sensem życia

nadprzyrodzonego. Wiem, że jego rozmowy z wieloma osobami - studentami w Kolegium Rzymskim, ludźmi, którzy przychodzili do niego itp., wywarły na nich silne poczucie miłości Boga. Mam wiele świadectw osób, które nawet po wielu latach zachowują w pamięci i w sercu słowa i wpływ, jaki wywarła na nich rozmowa z Don Alvaro.

Anegdota, którą opowiedział po powrocie z podróży do Częstochowy w sierpniu '79, oddaje naturalność i prostotę, z jaką każda zwykła rzecz zbliżała go do Najświętszej Panny. Nawiązał do rozmowy przeprowadzonej przez jednego z jego synów w celu odzyskania biletów lotniczych jako pamiątki z podróży: tenże poprosił o nie pracownicę lotniska, argumentując, że bilety te mają wartość historyczną. Wtedy kobieta, która go obsługiwała, uznała, że została podpisana umowa handlowa lub coś

podobnego. "Jeśli jest to historyczne, powiedziała, to musiał to być bardzo ważny kontrakt". A don Alvaro dodał: „**Myślę, że to prawda: zawarliśmy umowę z Najświętszą Maryją Panną. Podążymy do niej i mówimy: całe Opus Dei jest dla ciebie, i każdy z nas również, *totus tuus*, dla ciebie nasze modlitwy, nasze umartwienia, nasza praca, abyś mogła przedstawić je Bogu. W zamian przyjmuje nas pod swój płaszcz, chroni nas, oświeca i prowadzi naprzód**”.

Miał szczególny szacunek dla chorych, słabych i potrzebujących. Każdego roku, na przykład, kiedy udawał się do Pampeluny z jakiegoś powodu (naukowego, medycznego...), odwiedzał chorych przebywających w *Clínica Universidad de Navarra*, głównie dzieci. Przyniósł im wielką pociechę, pokój i nadprzyrodzony sens. Mogę to potwierdzić, bardzo konkretnie,

wizytą, jaką złożył we wrześniu 1990 roku mojej siostrze, hospitalizowanej z powodu ciężkiej choroby, na którą zmarła dwa miesiące później. Także jako szczegół: w 1981 roku moja matka przeszła trudną operację chirurgiczną: wiele razy pytał mnie o nią, jej zdrowie itp. Powiedziałem już wcześniej, że kiedy udzielił mi błogosławieństwa, kładąc ręce na mojej głowie, dodał, że pamięta o niej, która była operowana z powodu guza mózgu, i o jej Aniele Strózu.

## **Serce przyjaciela, ojca... i syna**

Nigdy nie słyszałem, by krytykował czy szemrał na kogokolwiek. Przy wielu okazjach poznał osoby lub sytuacje, których zachowanie nie było poprawne - publicznie znane - lub oczerniały albo były niesprawiedliwe: jeśli te sprawy pojawiały się w rozmowie, Don Álvaro zawsze starał się znajdować usprawiedliwienie dla tych osób,

przebaczał i kończył mówiąc, że trzeba się więcej modlić i to był koniec sprawy.

W dniu śmierci mojego ojca (12 II 82) natychmiast zadzwonił do mnie, podniósł mnie na duchu, swoimi nadprzyrodzonymi i pełnymi miłości słowami i zorganizował mi podróż do Hiszpanii, abym uczestniczył w pogrzebie. Podobnie w listopadzie 1990 roku zmarła moja siostra (o której już wspomniałem, że don Alvaro odwiedził ją w Klinice we wrześniu). Don Alvaro był tego dnia nieobecny; po powrocie, dwa dni później, złożył mi kondolencje i zapewnił o swoich modlitwach, czule wytykając mi, że nie zadzwoniłem do niego w dniu śmierci.

Wierni Prałatury często piszą do prałata, a w tych listach wyrażają swoje usposobienia, problemy itp. W wielu z tych listów don Alvaro podkreślał na czerwono, na

marginesie, znaczący akapit, pisząc: „**polecam go**”, „**napisz do niego za mnie**”, aby powiedzieć mu to czy tamto....

Miał wielu przyjaciół, z którymi był blisko przez całe życie: znajomych z młodości, kolegów ze studiów.... Często odwiedzali go, gdy byli w Rzymie. Ludzie ze wszystkich środowisk - duchowni i świeccy - których znał dzięki swojej pracy lub innym okolicznościom; w szczególności bardzo wielu kardynałów, biskupów i prałatów Kurii Rzymskiej. Do wszystkich pisał z okazji świąt, ich rocznic..., ze szczerą sympatią, która przekładała się na modlitwę za nich i najserdeczniejsze traktowanie. Wiem na przykład, że podczas podróży do Polski napisał stamtąd 156 pocztówek z wyrazami pamięci i modlitwy.

Myślę, że biskup del Portillo był bardzo ceniony za swoją roztropność i dary rady wśród wielu przyjaciół i znajomych, których spotykał, zwłaszcza z powodu swojej pracy przy Stolicy Apostolskiej. Mogę potwierdzić, że wszyscy biskupi lub prałaci, którym towarzyszyłem w odwiedzinach u don Alvaro - który zapraszał na obiad - opowiadali mi o tym w jakiś sposób; a większość z nich zostawał z nim na chwilę sam na sam, pod koniec posiłku, aby skonsultować się lub porozmawiać.

W 1980 roku otrzymał list, w którym w dość nieumiarkowany sposób skrytykowano sposób wykonywania przez niego pewnych zadań duszpasterskich. Don Alvaro kazał mi to przestudiować, a ja upierałem się, że ton listu dezawuuje to, co autor pisze. Pamiętam, że skorygował mnie w tym punkcie widzenia, mówiąc, że choć miało to nieodpowiedni ton, musieliśmy brać

pod uwagę wszystko, co zostało przez niego napisane, na wypadek gdyby trzeba było coś zmienić lub sprostować w naszych działaniach.

Od 1982 roku, kiedy został mianowany prałatem, nosił pierścień pasterski; od 1983 roku miał taki, który podarował mu św. Jan Paweł II. Zauważyłem, że bardzo często podczas zebrań, tertulii itp. dotykał pierścienia, patrzył na niego. Szybko dowiedziałem się dlaczego, gdy usłyszałem, jak opowiada następującą anegdotę o swojej audiencji u papieża 7 lipca 1984 roku. Przed wyjazdem z Rzymu: **„Powiedziałem do papieża: 'Ojcze Święty, zanim wyjdę, chciałbym Cię prosić o przysługę: załóż na chwilę ten pierścień. Dałem mu go, a papież włożył go na palec. Kiedy mi go oddał, wyjaśniłem mu: ten pierścień daje mi obecność Boga, ponieważ jest symbolem mojego zjednoczenia z Opus Dei; oznacza,**

**że jestem niewolnikiem, sługą  
Dziela z miłości do Kościoła i  
papieża. Ale teraz, kiedy Wasza  
Świątobliwość go założył, da mi on  
również wiele obecności Papieża. I  
tak jest, dzieci: przedtem  
nieustannie go powierzałam, a  
teraz nieustannie go pomnażam  
przez wielu”.**

W ostatniej homilii, jaką słyszałem,  
11 marca 1994 r., w dniu jego 80.  
urodzin, usłyszałem takie słowa  
dziękczynienia i pobożności:

**„Dziękuję Bogu za dar życia i za to,  
że urodziłem się w chrześcijańskiej  
rodzinie, gdzie nauczyłem się  
kochać Najświętszą Dziewicę jako  
moją Matkę i Boga jako mojego  
Ojca. Dziękuję Mu również za  
formację, którą otrzymałem od  
moich rodziców - prawdziwą  
pobożność, bez pietyzmu - która  
była przygotowaniem do  
opatrnościowego spotkania z  
naszym ukochanym założycielem,**

**które wyznaczy bieg mojego życia. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat. Od tego dnia w lipcu 1935 roku, ileż to znaków Bożej dobroci otrzymałam: powołanie do Dzieła, formacja z rąk naszego Ojca; potem te miesiące w czasie wojny domowej - bardzo ciężkie lata - kiedy to w specjalnym Bożym planie Pan dał mi dar życia bardzo blisko naszego założyciela, bycia świadkiem jego świętości, jego zjednoczenia z Bogiem... Potem, przez tak długi czas, tak długo, zawsze u jego boku, jak cień, który nie oddziela się od ciała. I święcenia kapłańskie, prawie pięćdziesiąt lat temu”.**

Widziałem, jak modlił się i prosił o modlitwę za Hiszpanię, w najtrudniejszych okresach dla życia chrześcijańskiego, o pokój. Z Włochami zżył się w ciągu wielu lat pobytu we Włoszech: w latach 40. i 50. podróżował po wielu włoskich

miastach (do 1950 r. był  
Konsyliariuszem Włoch). Słyszałem  
też, jak z wielką miłością mówił o  
Meksyku, odzyskując nawet  
meksykański akcent, który usłyszał  
od swojej matki. We wszystkich  
krajach, które odwiedzał, mówił - i to  
było widać - że jest całkowicie u  
siebie: widział ich cnoty, zalety itd. i  
w razie potrzeby, z tą samą  
naturalnością i miłością, wskazywał  
ewentualne wady, bez względu na  
osoby czy narody. Osobiście muszę  
dodać, że przy wielu okazjach  
okazywał mi swoje przywiązanie do  
Kraju Basków: wspominał niektórych  
swoich przodków, rodzinę Diez de  
Sollano, jako pochodzących z Zalla  
(Vizcaya), żartował z niektórymi  
słównymi, które znał po baskijsku  
(konkretnie, liczył po baskijsku do  
dziesięciu; używał określenia  
*ganorabako*, które usłyszał od babci,  
oznaczającego *osobę bez treści*, itp.

Z czasów, gdy towarzyszyłem mu w obiadach z gośćmi wiem, że prowadził bardzo restrykcyjną dietę i reżim żywieniowy, co zalecali mu lekarze. Wino pił tylko przy rzadkich okazjach i w minimalnych ilościach; nigdy - w czasie, kiedy go znałem - nie pił mocniejszych alkoholi. Nigdy nie jadł czekolady ani słodczy, przynajmniej tak długo jak go znałem. Towarzysząc świętemu Josemaríi, don Álvaro palił dyskretnie. Kiedy został wybrany na Przewodniczącego Generalnego, rzucił całkowicie palenie: stosując się do tego, co sam nieraz wspominał, słysząc jak nasz Założyciel powiedział, pół żartem, że palenie *dedecet de munere Patris* (nie jest znakiem urzędu Ojca). Trzymam jako relikwię używaną przez niego zapalniczkę, którą dał mi w prezencie.

Niemal co tydzień, komentując konkretne pytanie rachunku

sumienia podczas kręgu, przypominał, że bardzo niepokoją go ewentualne zbędne wydatki: mówił to, przypominając, że w jego czasach liczone grosze; i że teraz, mając do czynienia z dużymi kwotami, martwił się, że nie bierze się pod uwagę szczegółów, drobnych kwot, minimalnych wydatków.

Przez całe lata 50. i wczesne 60. don Alvaro musiał zwracać się z licznymi prośbami o pomoc finansową na budowę budynków *Villa Tevere*, siedzibie Opus Dei. Musiał zebrać o jałmużnę, jak mawiał nasz założyciel. Wiem, że jak zwykle często miał napotykać odmowy: nigdy nie słyszałem, żeby to komentował. Co więcej, po latach powie nam, nie odnosząc się do niczego konkretnego o sobie, że proszenie ludzi o pomoc finansową było apostołstwem, które zawsze przynosiło owoce: „**czasami pomoc przychodzi, czasami zatrząskują**

**nam drzwi przed nosem, i to jest wielki owoc, ponieważ ofiarujemy Panu tę porażkę”.**

Pewnego 15 września po jego wyborze (może to był rok 80, choć nie pamiętam dokładnie), ksiądz głoszący medytację wspomniał o podziękowaniach, jakie winniśmy don Alvaro za jego wierność. Kilka sekund później Don Alvaro, który był obecny, delikatnie przerwał kaznodziei, mówiąc mu, żeby nie kontynuował. Dodał, że wcale nie musieliśmy mu dziękować.

Natomiast ciągnął dalej medytację, mówił o naszej wdzięczności wobec Boga, świętego Josemaríi, o synostwie, które mu zawdzięczamy itd.

Podobnie podczas Kongresu Generalnego we wrześniu 1983 r., zgromadzenie uchwaliło wniosek o podziękowaniu dla Don Alvaro, którego nie miał innego wyjścia, jak

tylko przyjąć. Kiedy nadszedł czas, aby przekazać ten wniosek Kongresu do wszystkich Regionów w listopadzie, przygotowano krótką notatkę z zatwierdzonymi propozycjami. Notatka została oczywiście przedłożona do zatwierdzenia przez don Alvaro. Była to powinność sprawiedliwości i synowskiego oddania ze strony wszystkich. O dziwo dla mnie, don Alvaro zatwierdził tekst bez najmniejszej poprawki. I z humorem i nadprzyrodzonym wyczuciem zanotował na marginesie: „**Módl się, aby to, co mówisz, było prawdą. I niech Bóg ci wybaczy!**”.

tłumaczenie pod red. KG